

Daniel Manelski – nauczyciel fizyki, twórca alternatywnego modelu edukacji. W latach 1968–81 dyrektor Liceum Ogólnokształcącego nr III we Wrocławiu, współzałożyciel (wraz z Dariuszem Łuczakiem) Towarzystwa Działań dla Samorozwoju (1989) i Autorskiej Szkoły Samorozwoju ASSA (1991). W grudniu 1981 r. przedstawił publicznie koncepcję alternatywnego modelu kształcenia „Szkoła kształcenie osobowości twórczej – otwartej”, opartą w dużym stopniu na doświadczeniach pedagoga i dyrektora szkoły. W stanie wojennym internowany i odsunięty od nauczania. Autor książki „Przez ile dróg”.



Fot. zbiory prywatne Daniela Manelskiego

Unikam instrukcji obsługi

z Danielem Manelskim
rozmawia
Łukasz Medeksza

Legenda głosi, że 12 grudnia 1981 roku władze PRL zezwoliły Panu na utworzenie autorskiego, wolnościowego liceum. Takiego bez ocen, bez dyscypliny.

Sytuacja była niezwykła. W jednej z sal Instytutu Filologii Polskiej przy pl. Nankiera zebrało się mnóstwo, uczniów, rodziców i nauczycieli. Przyszli na seminarium zatytułowane „Wokół koncepcji szkoły autorskiej we Wrocławiu”. Zorganizowała je nauczycielska Solidarność. Jeden z prelegentów wygłosił bardzo krytyczny referat o szkolnictwie w PRL. Inny mówił o samorządności w szkole. Przyszła moja kolej. Miałem za sobą wiele lat doświadczeń w prowadzeniu eksperymentów edukacyjnych w miejscowym III LO, jako jego dyrektor. Ale wiedziałem, że nie mogę pozwolić sobie na dwugodzinny wykład, bo słuchacze nie wytrwają. Zamknąłem oczy. Spojrzałem w głąb siebie. I wyrzuciłem w kilkunastu zdaniach to, co było moim marzeniem. Chwyciło.

Słuchacze kupili koncepcję szkoły alternatywnej?

Jedna z nauczycielek, starsza pani, zaczęła płakać. Wyznała, że przez całe życie marzyła o takiej szkole. Na sali był miejscowy wicekurator oświaty. Uczniowie zażądali od niego utworzenia szkoły w oparciu o moją koncepcję. Sprzeciwiał się. Użył argumentu, że przecież nie ma jeszcze programu takiej szkoły. A ja właśnie miałem przy sobie 20–30 egzemplarzy programu, które wydrukowało mi Cuprum – zakład opiekuńczy III LO. Rozdałem je. Wicekurator skapitulował. Zadeklarował, że szkoła może zacząć działać od września.



Wrócił Pan do domu z poczuciem triumfu.

Kładąc się spać, pomyślałem, że ostatnim marzeniem mojego życia jest stworzenie szkoły dla wszystkich jej uczestników: uczniów, rodziców i nauczycieli. Takiej, która byłaby ich domem. W której wspólnie realizowaliby swoje „ja”.

A następnego dnia rano...

... zobaczyłem gen. Jaruzelskiego w telewizji. Marzenie przysto.

Zrealizował je Pan dopiero po 1989 r., w formie [Autorskiej Szkoły Samorozwoju \(ASSY\)](#). Co się z Panem działo w latach 80.?

W stanie wojennym byłem krótko w więzieniu na Kleczkowskiej. Po wyjściu wróciłem na jeden dzień do III LO. Z radiowęzła przemawiał jakiś pułkownik. Uczniowie bali się go, więc kazałem wyłączyć głośniki. Pod koniec dnia zostałem usunięty ze szkoły. Wojskowa komisja lekarska orzekła, że nadaję się tylko do prac prostych. Esbecy nachodzili mnie i moją rodzinę. Doszedłem do wniosku, że trudno tak żyć. Dzięki znajomej z Żywca znalazłem opuszczoną chatkę w górach. I tam mieszkalem przez całą dekadę. Moim najwierniejszym towarzyszem był pies. Odwiedzali mnie uczniowie. Cały czas myślałem o ASSIE.

Czy tą nazwą posługiwał się Pan już w 1981 r.?

Wtedy jeszcze nie. Moją koncepcję nazwałem „Szkołą Osobowości Otwartej”. Ale jej program był już oparty na idei samorozwoju. Uważałem, że człowiek rodzi się z pewnym potencjałem, który potem urzeczywistnia się wraz z rozwojem osobowości. Natomiast moją – jako nauczyciela – rolą jest po prostu pomóc w tym samorozwoju, nie sprzeciwiać się mu.

Wspomniał już Pan, że ta koncepcja dojrzewiała wcześniej we wrocławskim III LO.

Byłem tam dyrektorem od końca lat 60. Uczyłem fizyki, byłem też wychowawcą kilku klas. Sprawdzałem, jak działają moje pomysły na upodmiotowienie uczniów. Wszedłem raz do jednej z klas pierwszych, albo drugich, i oświadczyłem: „Od dziś nie stawiam żadnych ocen. A ponieważ czymś trzeba zapętnić dziennik, to wpisuję wszystkim same piątki, przez cały czas trwania nauki, do końca czwartej klasy”.

Wybuchła radość?

Oczywiście. A potem nagle dostrzegłem na twarzach uczniów ogromne przerażenie. Bo moja decyzja oznaczała, że odpowiedzialność za naukę fizyki spada całkowicie na nich. Efekty badaniem, rysując na własny użytek tzw. *krzywą Gaussa* [wykres pokazujący prawdopodobieństwo występowania różnych stanów – red.]. Okazało się, że daje ona taki sam rezultat dla systemu opartego na ocenach i dla tego bez ocen. W obu przypadkach jest grupa uczniów wybijających się i grupa tych, którzy radzą sobie gorzej.

Więc po co zmieniać cokolwiek, skoro nie ma żadnej różnicy?

Ależ jest różnica: stawianie stopni sprzyja innej grupie uczniów niż system bez ocen!

W jaki sposób konstruował Pan krzywą Gaussa, nie mając miernika w postaci stopni?

Podstawą były moje kontakty z uczniami. Lekcje miały inny charakter. Nie przepytywałem, nie wywoływałem pod tablicę. Rozmawialiśmy. Niektórzy uczniowie brali aktywny udział w tych dyskusjach, część włączała się od czasu do czasu, inni byli bierni. Nie wszystkich interesowała fizyka. Krzywą Gaussa konstruowałem w oparciu o moje osobiste wrażenia.

Ilościowe wskaźniki zaciemniają obraz rzeczywistości?

Oczywiście, że tak. Na ten temat powstało wiele książek. Stosowanie ocen w edukacji to czysty nonsens. Są niewiarygodne.

Obecnie w szkołach królują testy i punkty.

Kompletna bzdura. System edukacji tu sięga dna.

Czy uczniowie, którym nie stawiał Pan ocen z fizyki poradzili sobie na maturze?

Wszyscy opanowali materiał i zdali. Z tego co pamiętam, matura z fizyki była wówczas obowiązkowa. Ja nie tłukłem z nimi zadań i bałem się, że po kilku latach bez ocen, bez duszenia, moi uczniowie mogą mieć problem z rozwiązywaniem ćwiczeń na egzaminie końcowym. Gdy zdali, zapytałem, jak się przygotowali. Odpowiedzieli, że to proste: brali zbiory zadań i próbowali je rozwiązywać jedno po drugim. Gdy trzeba było,



sprawdzali prawidłowe odpowiedzi na końcu książki. Każdy miał swój sposób na opanowanie materiału.

Ważnym wydarzeniem w życiu szkoły opartej na idei samorozwoju są wspólne wyjazdy. Tak było w latach 70. w III LO, tak było dwadzieścia lat później w ASSIE.

W latach 70. trzeba było obowiązkowo brać udział w wykopkach. Jechało się na dwa–trzy dni, by kopać jakieś buraki czy ziemniaki. Uczniowie jadący na wykopki byli w tym czasie zwolnieni z lekcji. Zmęczyło mnie to. Nie miałem już więcej ochoty pędzić ludzi na pole i sprawdzać, czy nauczyciele nad wszystkim panują. Więc któregoś razu ogłosiłem: „Jutro są wykopki. Każdy ma trzy dni wolnego. Kto chce – jedzie pracować”. To było ryzykowne.

Czy ktoś w ogóle pojechał?

Tak. Połowa uczniów. Druga połowa skorzystała z wolnego i inaczej spędziła ten czas. Na samych wykopkach uczniowie i nauczyciele wprawdzie stali w polu, bo nikt nie pędził ich do roboty. Więc zacząłem kopać jako pierwszy. Było zimno. Gdy troszkę zmarzli, to też zaczęli pracować. W pewnym momencie kopali już wszyscy. Po powrocie poprosiłem tych, którzy nie pojechali, by anonimowo napisali, jakie były powody ich decyzji. Niektóre notatki były poruszające. Jeden z uczniów pisał, że bardzo marzył o wykopkach, bo zależało mu na wzmocnieniu więzi z klasą. Ale ojciec nie pozwolił mu jechać. Inny stwierdził, że nie pojechał, bo nie miał ochoty. Rozpętała się dyskusja. W bibliotece szkolnej jedni i drudzy spierali się o to, czyj wybór był słuszny.

Z tych wszystkich eksperymentów w Trójce narodził się nowy model szkoły.

Moimi doświadczeniami zainteresował się dyrektor Instytutu Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych. Zaproponował stworzenie eksperymentalnego systemu kształcenia, który mógłby uzyskać formalne zezwolenie Ministerstwa Oświaty. Nazwaliśmy ten projekt w skrócie LOW – od słów Laboratorium, Obserwatorium, Wzorcowca. Zakładaliśmy, że projekt obejmie jedną, może dwie klasy w III LO. Laboratorium miało testować nowe rozwiązania edukacyjne. Obserwatorium

miało dawać fachowcom z zewnątrz możliwość zapoznawania się z nowym sposobem nauczania. Zakładaliśmy, że wykorzystamy monitory, które będą przekazywać zainteresowanym transmisję ze swobodnej lekcji. Wzorcowe miały być klasy profilowane – takie już mieliśmy w III LO, np. matematyczną. Sam zresztą prowadziłem fizykę inaczej, niż tego chciał program. Przez pierwsze trzy miesiące wykładałem rachunek różniczkowy, potem analizę wyższą i dopiero na tym budowałem fizykę w pierwszej klasie. Nikt nie chciał uwierzyć, że jest to możliwe na tym poziomie. Udowodniłem, że jest. W każdej szkole był ktoś, kto eksperymentował. Projekt LOW miał dać możliwość obserwacji takich prób.

Udało się?

Dyrektor wspomnianego instytutu próbował przepchnąć projekt w Warszawie. Bez skutku. Koncepcja LOW do dzisiaj leży gdzieś w ministerstwie.

Czyli być może jest do wzięcia, da się ją zrealizować.

Zapewne tak. Mimo porażki, zacząłem pogłębiać tamtą koncepcję. Zainteresowałem się samorozwojem. Badałem możliwości poszerzania zakresu swobody w szkole. Tak żeby uczeń czuł się w niej dobrze i mógł sam decydować o swojej edukacji. Wolność jest dla mnie najwyższą wartością. W trzech wymiarach: społecznym, rodzinnym i wewnętrznym. Ze społeczną było w moim przypadku najtrudniej, bo trzy czwarte życia przeżyłem w niewoli – pod okupacją hitlerowską i w czasach komunizmu. Wolność rodzinną osiągnąłem dopiero w drugim małżeństwie, które jest dla mnie idealne. W pierwszym czułem się, niestety, zniewolony. Wolność wewnętrzną mam w sobie od zawsze. Nawet za okupacji, gdy chodziłem do lasu po jagody czy grzyby, wchodziłem pod krzaczek rozłożystego świerka i przestawałem się bać. Wszystkiego. I okupantów, i tego, że mogą zabrać mi mamę lub siostry. Czuję się wolny.

Budowanie szkoły opartej na wolności to dość śmiały plan w warunkach takiego państwa jak PRL.

Nie chodziło mi o samą wolność, ale też o samodzielność i odpowiedzialność. Wiele eksperymentów starałem się prowadzić po cichu. Ale i tak wśród lokalnych prominentów



partyjnych krążyło powiedzenie: „Ten Manelski w Trójce dziwne rzeczy robi, my się z nim nie zgadzamy, ale ważne, że dzieci dostają się potem na wyższe uczelnie”.

Taka opinia była gwarancją bezpieczeństwa.

Widzieli, że to, co robię, nie jest złe. Przeciwnie: jest skuteczne. Wspomniałem już wcześniej, że w czasach „trójki” chciałem, by była to szkoła korzystna dla wszystkich jej uczestników: uczniów, nauczycieli i rodziców. Nie wyróżniałem żadnej z tych grup. Uznałem też, że sednem koncepcji samorozwoju jest indywidualność człowieka. Zgodnie z prostym powiedzeniem Nietzschego: „Stań się, kim jesteś”. Odkrycie takiego sposobu myślenia było dla mnie zasadniczym przełomem.

Skąd czerpał Pan inspiracje w tamtych latach?

Któregoś dnia „Gazeta Robotnicza” napisała o [Summerhill](#) [słynna alternatywna szkoła działająca w Wielkiej Brytanii od lat 20. XX w. – red.]. Później rozmawiałem z pewnym fanatykiem spraw pedagogicznych, który interesował się takimi eksperymentami i pogłębił moją wiedzę. Udało mi się też zdobyć książkę o samorozwoju. W ten sposób znalazłem koncepcję, którą można było przeciwstawić behawioryzmowi – podstawie ówczesnego wychowania. Na tych fundamentach ideowych powstał projekt „Szkoły Osobowości Otwartej”, który zaproponowałem 12 grudnia 1981 r.

Jak to się stało, że został Pan nauczycielem?

Bardzo tego nie chciałem. Ale w latach 50. w Polsce było za mało ludzi w tym zawodzie. Studiowałem wówczas fizykę. I byłem jedną z wielu osób, którym ówczesne ministerstwo edukacji wyptać przymusowe stypendium, narzucając nakaz pracy w szkole po ukończeniu studiów. Trafiłem wpierw do [XI LO](#), a po trzynastu latach zostałem dyrektorem III LO. Dziś uważam, że to najszczęśliwsze lata mojego życia.

Te pierwsze lata w XI LO nie sprzyjały chyba eksperymentom edukacyjnym?

Dyrektor szkoły był typowym kacykiem. Trudno tam było być sobą. Nie wiedziałem jeszcze, czym jest samorozwój. Przez wiele lat żyłem w behawioryzmie – społecznym, rodzinnym,

wszelakim. W XI LO z całą wyrazistością dostrzegłem wszystko to, co uniemożliwia pełny rozwój ucznia w publicznym systemie edukacji. Kiedy więc zaproponowano mi funkcję dyrektora III LO, to początkowo odmówiłem. Nie znoszę jakiegokolwiek władzy. To niezgodne z moją osobowością. Jestem zbyt wrażliwy.

A jednak w końcu przyjął Pan propozycję.

Przeważały dwa motywy. Po pierwsze – zgodziłem się, że będę dyrektorem tylko dwa lata, a potem odejdę do innej szkoły jako nauczyciel, żeby znów być blisko uczniów. Po drugie – chciałem nauczyć się dobrego zarządzania szkołą. Uważałem, że takie doświadczenie przyda mi się w życiu. W końcu pojawił się jeszcze jeden motyw. Uwierzyłem, że mogę zrobić po cichu coś dobrego jako dyrektor szkoły.

Ideę ASSY dopracował Pan w latach 80., w górskiej chatce. Była to ostateczna wersja projektu realizowanego w poprzedniej dekadzie w Trójce.

Gdy pod koniec lat 80. wróciłem do Wrocławia, wiedziałem, że coś muszę zrobić z moją koncepcją. Już wcześniej opowiadałem o niej na różnych spotkaniach. Poszła fama, że mam taki projekt. Zainteresowała się nim młodzież. Zaczęli mnie odwiedzać w domu uczniowie, którzy nie mogli poradzić sobie w państwowej szkole i szukali swojego miejsca na świecie. Słuchali mnie ich rodzice. Niektórzy z nich mówili, że nie posłać dziecka do tak zwariowanej szkoły, i wychodzili. Inni byli pełni zapału i deklarowali, że taką placówkę koniecznie trzeba stworzyć. Powstała grupa nauczycieli i uczniów, którzy wyrazili chęć realizacji projektu. Ale co z tego, skoro po tygodniu tych ludzi już nie było?

Słomiany zapal.

Doszedłem do wniosku, że nie mam siły. Że sam nie dam rady tego zrobić. Chciałem zrezygnować. I wtedy pojawił się Darek Łuczak, mój dawny uczeń z III LO. Był po dwuletnim pobycie w wojsku. Pytał, gdzie mógłby znaleźć jakąś pracę. Odpowiedziałem mu krótko: „Zorganizuj nową szkołę”.

Wtedy po raz pierwszy pojawiła się nazwa ASSA.



Wymyślił ją chyba właśnie Darek, ja ją rozbudowałem. Tak naprawdę nie powinna to być „Autorska Szkoła Samorozwoju”, ale „Autorska Szkoła Sprzyjająca Samorozwojowi”. Darek zgodził się pomóc. Wziął mój składak, przyczepił do niego tabliczkę z napisem „ASSA” i jeździł po Wrocławiu przekonując ludzi do mojej koncepcji. Zaczął organizować spotkania rodziców i uczniów. Poszczególnym grupom zainteresowanych osób nadaliśmy nazwę „kępki” [później stały się odpowiednikiem klas szkolnych w ASSIE – red.]. Pewnego razu przybiegł do mnie przerażony. Okazało się, że w niedzielę rano jacyś rodzice wyciągnęli go z łóżka i prosili, by przyszedł na spotkanie w sprawie nowej szkoły. Poszedł – a tam czekało nie kilkadziesiąt, ale kilkaset osób. Zrozumieliśmy, że to już nie są żarty.

Zaczęła się rewolucja. To był 1989 rok, prawda?

Tak. A ja nie mogłem już zastanawiać się, czy się uda, czy nie. Trzeba było działać. Sprawami organizacyjnymi zajął się Darek, ja czuwałem nad ideą.

ASSA nie miała na początku łatwo. Trzeba było wywalczyć pełnię praw publicznych dla eksperymentalnej szkoły.

Próbowaliśmy je uzyskać z pomocą Solidarności i różnych znaczących ludzi, w tym rektora Politechniki Wrocławskiej, który był naszym przyjacielem. O dziwo, najgorzej nam szło z Solidarnością. Jej działacze nie rozumieli, że chcemy wychować im pokolenie, które będzie źródłem ich siły. Że uczniowie też mogą zacząć żyć swobodnie, w wolności. Że nowa szkoła jest naturalnym dopełnieniem przelotemu politycznego.

Rozumieli przemiany 1989 r. jako proste przejęcie władzy, a nie zmianę systemową.

Byłem wówczas po raz pierwszy rozczarowany Solidarnością. Dopiero po wielu próbach dostaliśmy prawa publiczne. Potem pojechaliśmy na cały miesiąc w góry, pod namiot. Żeby się poznać.

To był ten słynny później wśród uczniów wyjazd we wrześniu 1990 r., od którego zaczyna się historia ASSY jako instytucji...?

Tak. A już w następnym roku dorobiliśmy się pierwszych kilkunastu maturzystów. Proszę sobie wyobrazić, że byli



zmuszeni do zdawania trzynastu przedmiotów. Tak zażyczyło sobie kuratorium.

I na tym nie skończyły się problemy ASSY.

Ni z tego, ni z owego zmieniła się ustawa oświatowa. W myśl nowych przepisów straciliśmy prawa publiczne. Znalazłem jednak w ustawie punkt, który pozwala nadać status szkoły eksperymentalnej takim placówkom jak nasza. Opracowałem nowy program i pojechaliśmy w kilka osób, m.in. z Darkiem Łuczakiem, do ministra edukacji, którym był wówczas [Andrzej Stelmachowski](#). Na miejscu okazało się, że nasz współpracownik, który umawiał spotkanie, pomylił dni – i spóźniliśmy się o całą dobę. Stelmachowski nie miał dla nas czasu. Stoimy w sekretariacie, a tu otwierają się drzwi i wychodzi minister. Darek staje naprzeciwko niego jak Rejtan i mówi: „Ja pana nie puszczę, dopóki nie przeproszę pana na klęczkach za nasze spóźnienie!”. Stelmachowski obruszył się, ale zgodził się porozmawiać. Już w gabinecie zacząłem mu opowiadać, że przez całe lata marzyłem o takiej szkole i że dożyliśmy czasów, kiedy edukacja powinna całkowicie się zmienić. Wylałem z siebie wszystkie żale. Było mi już wszystko jedno. W pewnym momencie Stelmachowski spojrzął na siedzącą obok dyrektorę z ministerstwa, którą ściągnął na spotkanie, i zapytał: „To co? Damy im te uprawnienia?”. Wtedy właśnie ASSA uzyskała status szkoły eksperymentalnej. Ma go do dziś. Ale wciąż nie jest łatwo. W 2010 r. ministerstwo uznało, że eksperyment trwa zbyt długo. ASSIE groziła likwidacja. Na szczęście szkołę udało się uratować.

Nadal jest Pan związany z ASSĄ?

Już nie. Ale wciąż jestem członkiem Towarzystwa Działania dla Samorozwoju, które prowadzi szkołę. Czasem spotykam się z obecnym dyrektorem ASSY, Arturem Wiercińskim.

Jak Pan ocenia jej ewolucję?

Dwadzieścia lat temu z uporem maniaka powtarzaliśmy, że w ASSIE uczniowie są równie ważni jak nauczyciele. Niestety z biegiem lat ci drudzy usiłowali zdominować szkołę. Uzyskali wyjątkową samodzielność, a jednocześnie się jej boją. Wolą pracę w kieracie – te wszystkie dzienniki, lekcje,

dzwonki. Nauczyciele w Polsce wykorzystali przetóm solidarnościowy do przejęcia kontroli nad szkołami, które wcześniej podlegały przede wszystkim partii, ministerstwu i dyrektorom.

Co dalej?

W ostatnich latach, ze względu na problemy ASSY, zacząłem zastanawiać się nad koncepcją, którą nazwałem DASS – Diferencjalną Autorską Szkołą Samorozwoju. Byłaby to placówka, w której uczniowie o różnym stopniu świadomości i samodzielności mogliby wybierać własne ścieżki i tempo rozwoju. Ale na razie nie rozwinąłem tej idei w projekt.

Takie przedsięwzięcia jak ASSA są chyba skazane na status szkół eksperymentalnych. Edukacyjny mainstream idzie w zupełnie innym kierunku.

I to pomimo tego, że świat zmierza ku pogłębianiu wolności i indywidualności człowieka!

Latem 2011 roku popularnonaukowy magazyn „Focus” lansował wizję rewolucji w edukacji jako warunku rozwoju. Opisywał eksperymenty oświatowe prowadzone obecnie w USA. Miałem wrażenie, że cofam się w czasie i czytam o wrocławskiej ASSIE z lat 90. albo o III LO z lat 70.

Cudze chwalicie, swego nie znacie. Niestety edukacja w Polsce nie stawia na ucznia, ale na klasę, jakieś podzespoły, pozycję szkoły w rankingach itd.

Typowe myślenie korporacyjne.

Ja już w latach 70. sprawdzałem wiedzę uczniów z fizyki nie tylko za pomocą zadań do rozwiązania, ale też luźnych pytań, które miały mi pokazać, jak myśli ten młody człowiek, w jaki sposób dochodzi do rozwiązania. Te prace nie były podpisywane, ale oznaczane kryptonimami, które rozszyfrowaliśmy już po ocenie, by nie sugerować się nazwiskiem ucznia. Podkreślałem: nawet przy rozwiązywaniu ćwiczeń z fizyki da się dostrzec osobowość człowieka.

W tym samym Wrocławiu rozwinął się model szkoły będący całkowitym przeciwieństwem ASSY – mam na myśli XIV LO.



Powstało w 1974 r. Do dziś słynie z wysokich wymagań wobec uczniów, z sukcesów w olimpiadach.

To też kawałek III LO.

No właśnie. Twórca i późniejszy wieloletni dyrektor Czternastki, [Aleksander Dobrzycki](#), był Pana zastępcą w Trójce.

Na początku lat 70. przyjmowałem do szkoły wszystkich chętnych uczniów. W pewnym momencie mieliśmy ich już tysiąc. Zaczęliśmy pracować na dwie zmiany. Pierwsza kończyła lekcje o godz. 13.00, druga o godz. 20.00. Trzeba było wynająć kolejne dwa lokale dla szkoły. Męczyliśmy się, ale jednocześnie mieliśmy wspaniałe wyniki i władza traktowała nas przyjaźnie. Dostałem propozycję wydzielenia filii III LO, która działałaby w budynku przy ul. Szczytnickiej. Ale nie wyobrażałem sobie, że będę rowerem jeździł w tę i z powrotem między dwiema siedzibami. Więc zamiast filii powstała odrębna szkoła, „czternastka”, której dyrektorem został mój dotychczasowy zastępca. Zrobił z tej placówki hodowlę olimpijczyków.

Prototyp szkoły działającej w modelu korporacyjnym.

Czysty nonsens.

Dlaczego przyjmował Pan do Trójki każdego, kto chciał? W ASSIE też tak było. Po pierwszym roku szkoła niesamowicie się rozrosła.

Tak. Do tysiąca osób. Nie byliśmy na to przygotowani.

Czy taka szkoła jak ASSA nie powinna działać odwrotnie – i być instytucją dla nielicznych? Przyjmować tylko tych, którzy naprawdę się nadają?

Pierwotnie zakładaliśmy, że do ASSY będziemy przyjmować uczniów, którzy są w pełni umotywowani, świadomi, przygotowani do życia w samorealizacji. Ale szybko stwierdziliśmy, że przychodzą do nas ludzie pokiereszowani, potamani, sfrustrowani. Tacy, którzy nie radzili sobie w innych szkołach. Dopiero w ASSIE znaleźli sobie miejsce, w którym mogą jakoś przeżyć. Postanowiliśmy zorganizować im pomoc. Powiedzieliśmy o tym kilku takim uczniom. Obruszyli się. Powiedzieli, że nie przyszli do ASSY po to, żeby ktoś im pomagał. Chcą sami się odnaleźć. Wtedy zrozumieliśmy swój błąd.





No tak: albo samorozwój, albo protekcyjne prowadzenie za rękę.

Uświadomiłem sobie wówczas, że do ASSY przychodzą trzy grupy uczniów: „nieudacznicy”, „emigranci” i „żeglarze”. „Nieudacznicy” to ci, którzy mają tzw. nieporadność wyuczoną. W domu rodzinnym słyszeli często: „nie dotykaj tego, bo się sparzysz”. W szkole nauczyciele mówili im: „nie będziesz dobrym matematykiem”, „nie będziesz dobrym polonistą”. Jedną z moich wnuczek traumatycznie przeżyła szkołę podstawową. Potem trafiła na rok do ASSY. I do dziś, po latach, powtarza, że przez ten rok odzyskała swoją godność, pewność siebie. To też nie było łatwe. Raz rozmawiała z koleżanką na lekcji matematyki i nauczyciel poprosił je do tablicy. Wstała, uśmiechnęła się i powiedziała: „Nie po to przyszłam do ASSY, by być wzywana do tablicy”.

Typowa ASSA. Jak zareagował nauczyciel?

Przyznał jej rację i przeprosił. Dla „nieudaczników” ASSA była terapią. Siedzieli w szkole po pięć, sześć lat, ale zyskali więcej, niż u najlepszego terapeuty. Był z nami uczeń chory na raka, który wiedział, ile dni życia mu pozostało. Chodził do szkoły do samego końca.

Kim w Pana modelu są „emigranci”?

To ci, którzy zmieniają szkołę, bo w dotychczasowej nie mogli się odnaleźć. Z różnych powodów. Bo nie wytrzymują psychicznie. Bo nauczyciel zagroził, że nie dopuści do matury. Wielu z nich znalazło sobie miejsce w ASSIE. Inni byli z nami krótko – i poszli dalej, do kolejnych szkół.

Trzecią grupą są „żeglarze”.

Nie potrzebują formalnej edukacji. Chcą jedynie uzyskać świadectwo. Jeden z rodziców w całej Polsce szukał szkoły, w której jego syn nie musiałby siedzieć, dzięki czemu mógłby spędzać więcej czasu w domu. Są uczniowie, którzy grają muzykę, tańczą, jeżdżą na zawody, mają ważniejsze sprawy niż siedzenie w ławce przez cztery lata. Mogą więc po prostu przyjeżdżać raz na jakiś czas, żeby spotkać się z nauczycielem, zaliczyć część przedmiotów i dostać wytyczne co mają robić dalej. Zresztą ASSA była nie tylko dla wrocławian, ale dla młodzieży z całego

województwa – z innych miast, ze wsi. Tacy uczniowie często nie mieli szans na internat. Nie stać ich było na płatną szkołę. To też „żeglarze”, którzy mają prawo do samorozwoju w ramach takiej szkoły jak ASSA.

Co po ASSIE? Mówi Pan, że ta szkoła jest formą terapii. Daje wolność i możliwość samorozwoju. Ale jej absolwent idzie potem na studia, podejmuje pracę, musi więc wrócić do systemu, który rządzi się zupełnie innymi regułami.

Nie mamy badań, które szczegółowo pokazałyby losy absolwentów ASSY. Znam pojedyncze przypadki osób, które opowiadały mi o swoich perypetiach ze studiowaniem. Z ich doświadczeń wynika, że na pierwszym roku lepsi są absolwenci zwykłych szkół, bo mają bardziej usystematyzowaną, wyuczoną wiedzę. Ale to się zmienia na drugim roku. Wtedy przewagę zyskują studenci bardziej samodzielni i kreatywni. Czyli m.in. absolwenci ASSY. Studenci po zwykłych szkołach mają w głowach gotowe szablony.

Inna rzecz, że rozpoczęcie nauki w takiej szkole jak ASSA również wymaga zmiany przyzwyczajeń wyniesionych choćby z domu.

Tacy uczniowie muszą długo się leczyć, zanim zrozumieją świat, który oferuje im coś zupełnie innego. Ale samodzielność hartuje. Też przez to przeszedłem. Gdy skończyłem drugą klasę podstawówki, wybuchła wojna. Przez kolejne pięć lat szkoły były zamknięte. Nauka była zabroniona. Moja mama była nauczycielką, ale nie bardzo miała kiedy nas kształcić, musiała utrzymać trójkę dzieci, dorabiała, udzielając tajnych korepetycji. Więc uczyłem się często sam. Motywy były różne. Najpierw opór przeciwko Niemcom, później ciekawość zamkniętego świata, wreszcie ważna potrzeba pomocy rówieśnikom. Wieczorami oblatywał nas strach przed okupacyjną rzeczywistością. Wtedy przeważnie sziłmy do jakiejś stodoły, siadaliśmy, zamykaliśmy drzwi i w ciemnościach opowiadaliśmy sobie bajki. Niosły nadzieję. Biedny szewczyk pokonywał smoka, działy się cuda.

Mam wrażenie, że to sama esencja samodzielności – jako strategii przetrwania w obliczu zagrożenia.

Wpierw opowiadałem te bajki, bo znałem je od mamy. Potem także czytałem na głos, bo jako pierwszy umiałem to robić.



Uświadomiłem sobie, że jestem potrzebny moim siostram i młodszym kolegom, żebyśmy wszyscy przeżyli psychicznie okupację. Do dzisiaj mam przesadne poczucie samodzielności. Nie lubię korzystać z żadnej pomocy. Nie czytuję instrukcji obsługi różnych sprzętów, wolę sam dojść do tego, jak z nich korzystać.

